

Matczak Tomasz Jerzy

Czarownik z Sowiej Górki

Z „*Science Fiction*” nr 12 - luty 2002

*Życie jest formą istnienia białka,
ale w kominie coś czasem załka...*
Agnieszka Osiecka

Sowia Górka

Sowia Górka, wbrew nazwie, wcale górką nie jest. Sowia Górka to wieś. Taka sama jak wiele innych. W dobrych czasach miała i szkołę, i ośrodek zdrowia, i kościół. Dziś z dawnej świetności pozostał tylko kościół, dość okazały, ale też Sowia Górka do biednych nigdy nie należała.

Po zreformowanej szkole i lecznicy pozostał budynek, pusty teraz i niszczący. Pozostał także nauczyciel - pan Kazimierz, człowiek mądry i przedsiębiorczy. Założył hurtownię warzyw i owoców, a że był w okolicy lubiany i za skupowane produkty płacił od ręki, to świeżego i dorodnego towaru mu nie brakowało. Pomagał również sołtysowi w prowadzeniu spraw urzędowych, zajmując się głównie pismami, którymi różne urzędy zasypywały sołectwo jak, nie przymierzając, drzewa jesiennymi liśćmi. Nieraz zacny pan Kazimierz, choć człowiekiem był wykształconym, jak to nauczyciel, aż migreny dostawał, zanim z urzędowego wodolejstwa odrobinę sensu wyłowił. Tym zasłużył sobie na wdzięczność sołtysa, który uważał go za swojego przyjaciela i niejedną raz o radę w urzędowych sprawach prosił. Oczywiście, pan Kazimierz uczyć nie przestał, każdemu dziecku z Sowiej Górki, które pomocy w nauce wymagało, korepetycji zawsze chętnie udzielał, grosza za to nie biorąc. Ba, bywało nawet, że gdy gimbus - zdezelowany autobus - na drodze się rozkraczył i do wsi po dzieci nie przyjechał, zabierał pan Kazimierz całą gromadkę do siebie, na skrzynkach z owocami rozsadzał i prowadził lekcje przewidziane szkolnym programem, bo, jak twierdził, wszystkie dzieci do wiedzy mają jednakowe prawo.

Tak to pan Kazimierz stał się dla sowiogórkowian drugim autorytetem, trzecim zaś był sołtys, choćby z racji pełnionego urzędu, ale nie tylko. Trzeba bowiem powiedzieć szczerze, że sołtys był człowiekiem gospodarnym, rozsądnym i na dodatek potrafił dobrać sobie do pomocy mądrych ludzi, co zapewniło mu szacunek nie tylko mieszkańców wsi, z jego zdaniem liczono się bowiem nawet w gminie.

Sowia Górka leży daleko od Brzuchlina - powiatowego miasta, co dawniej nie miało znaczenia.

Teraz jednak, po likwidacji autobusowych linii, dojazd do miasta stał się prawdziwym problemem. Można tam dojechać własnym samochodem, autostopem, lub tak, jak to robi pani Jaga, zwana czasem we wsi Babą Jagą - motorowerem. Niejedną sowiogórkowianin, widząc starszą panią w kombinezonie i kasku na głowie, jadącą głośno terkoczącym motorowerem, mówi: „O, Baba Jaga do miasta na miotle leci”. Mówi tak bez złośliwości, a z dobrotliwym prześmiechem, bo wszyscy sowiogórkowianie lubią tę swoją Babę Jagę - dawniej pielęgniarkę w lecznicy, teraz znachorkę i po trosze czarownicę. A znachorka to nie byle jaka.

Potrafi pani Jaga i kołtun usunąć, i rozpleść grzywy, co je nocne zmyry koniom zaplatają, i przegonić te małe stworki, odsysające krowy z mleka do sucha niemal. Najważniejszą jednak jej zaletą jest to, że zioła, które darmo sąsiadom w potrzebie rozdaje, są zawsze nad wyraz skuteczne, co po zreformowaniu służby zdrowia jest dla sowiogórkowian istnym darem niebios, oczywiście tych pradawnych - celtyckich, gockich, wandalskich, huńskich czy prasłowiańskich, nie całkiem w nowszych czasach przegonionych. Jednego wszakże pani Jadze robić nie wolno - nie wolno podawać ziół, które nawet przypadkiem szkodę ludziom przynieść by mogły. Tego bowiem zabronił pan Wiktor - jej tajemny mistrz i nauczyciel.

I tak doszliśmy do najważniejszej postaci w Sowiej Górce. Do tajemniczego pana Wiktora.

Pan Wiktor to mężczyzna, tak na oko, w średnim wieku, średniego wzrostu, średniej tuszy. W krótko przyciętych ciemnych włosach srebrzą mu się pasma siwizny, co w jego akurat przypadku sprawia bardzo sympatyczne wrażenie. Nikt nie wie skąd przybył, ani od kiedy w Sowiej Górce mieszka. Nawet stara

Tekla, o której złośliwcy powiadają, że przysłała na świat tuż po dinozaurach, od dziecka pamięta go właśnie takim, jakim jest teraz.

Tak więc sowiogórkowian do wiedzy prowadzi pan Kazimierz, do wiecznej szczęśliwości - proboszcz, a do szczęśliwości ziemskiej - pan Wiktor, czarownik i opiekun.

* * *

Początkowo proboszczowi trudno było się pogodzić z tym, że nie jest we wsi pierwszą osobą. Ostatecznie przebolewałby sołtysa, nawet nauczyciela, ale czarownika? Przenigdy!

- Ludzie, w magię wierzycie?! - rzekł oburzony do starego Ignacego, sołtysa i pana Kazimierza, stojących na placu przed plebanią. - W czary, w XX wieku?

- W magię, to nie - odparł sołtys - ale że pan Wiktor opiekuje się wsią, to owszem.

Prawda - z powagą potwierdził pan Kazimierz i dodał - pani Jaga również.

- A coś takiego dla wsi zrobił ten wasz czarownik? - spytał proboszcz z irytacją.

- Plony mamy najlepsze w całej gminie, żywina nam nie pada, kury się niosą, co więcej trzeba? - odparli, niemal jednym głosem, sołtys i stary Ignacy.

- To pan Wiktor zabronił starej Tekli plotki po wsi roznosić i baba zaraz głos na kilka dni traci, jeśli tylko zacznie o kimś plotkować - dodał sołtys.

Teraz dopiero proboszcz uświadomił sobie, że od dawna nic nowego o parafianach nie słyszał, a stara Tekla, gdy czasem na plebanię zajrzy i już zdaje się, że coś ciekawego o sąsiadach powie, zakrywa dłonią usta i w popłochu ucieka do domu.

- A kto ugasił pożar, gdy się u mnie stodoła zapaliła? - spytał Ignacy i zaraz sam odpowiedział: - Oczywiście pan Wiktor.

- Przecież przyjechała straż pożarna - upierał się proboszcz.

- Przyjechała, ale po pożarze.

- Prawda, była ulewa, a nawet, jak to mówią, oberwanie chmury - przypomniał sobie proboszcz.

- Ale lało tylko nad naszą wsią, a chmura oberwała się akurat nad moją stodołą - dodał Ignacy.

- No i kto to zrobił - spytał pan Kazimierz - jak nie pan Wiktor?

- To pan, nauczyciel, w istnienie czarownika i znachorki wierzy? Przecież pani Jaga to pielęgniarka.

- Czy ksiądz tu gdzieś szkołę albo lecznicę widzi?! - warknął pan Kazimierz i ze złości aż poczerwieniał na twarzy. - Nie ma szkoły, nie ma nauczyciela. Nie ma lecznicy, nie ma pielęgniarki - dodał, ochłonawszy nieco.

Proboszcz zrozumiał, że jego poprzednik, po którym niedawno parafię objął, był w dużo lepszej sytuacji. Była szkoła, była lecznica, to i niepokornych można było zdyscyplinować. Teraz do niczego zmusić ich nie można. Wierzą w co chcą i robią, co im się podoba. ,

- A panią Jagę to lepiej w spokoju zostawić - dodał sołtys, uśmiechając się złośliwie - bo ona nie tylko pomoc może, ale i robactwo jakie naśle - pchły albo i pluskwy.

- Prawda - rzekł pan Kazimierz, wpadając mu w zdanie. - Jak potem jakiegoś ważnego gościa posadzić w zapluskwionym fotelu.

Proboszcz popatrzył na nich wyraźnie speszony i obróciwszy się na pięcie, bez słowa pożegnania ruszył szybko na plebanię.

- Wzięło go, nie ma co - mruknął pan Kazimierz i zrobił perskie oko do sołtysa i starego Ignacego.

Proboszcz na plebanię wpadł jak bomba i już od progu zarządził wielkie sprzątanie. Gospodyni zaraz do pomocy wzięła dwie kobiety i zaczęło się odkurzanie, dywanów trzepanie, przeglądanie kanap i foteli. Pod wieczór gospodyni służbiście zameldowała: „Pluskiew nie ma, księżę dobrodzieju”.

Uf, odetchnął proboszcz z ulgą, ale swoją drogą, postanowił ze znachorką nie zadzierać. Nie, żeby zaraz bał się jej czarów. Co to, to nie, ale po co lichu bez potrzeby kusić.

Z czasem wszystko się ułożyło jak należy. Niejeden raz pani Jaga zanosila gospodyni ziółka na proboszcza ból głowy, czy, excusez moi, zaparcie. Poza tym ogóreczki konserwowane w zalewie z ziołami znachorki były przewyborne w smaku, godne nawet biskupiego stołu.

Stosunki między proboszczem a panem Wiktorem również ułożyły się poprawnie. Jeden drugiemu w drogę nie wchodził. Każdy w swoim zakresie o sowiogórkowian dbał, a na dodatek okazało się, że pan Wiktor zna świetnie łacinę i grekę, a z języków nowożytnych - włoski i francuski. Przed każdą pielgrzymką do Rzymu proboszcz różnych wybiegów używał, aby z panem Wiktorem się spotkać i potrzebne języki przećwiczyć. Spacerowali wtedy miedzami wśród pól, prowadząc poważne rozmowy po włosku i łacinie. Bywało, pan Wiktor po włosku Dantego lub sonety Petrarci cytował. Po łacinie zaś Wergiliusza albo i

Owidiuszowe „Metamorfozy”. Rychło proboszcz spostrzegł, że łacina pana Wiktora jest jakaś inna, bardziej melodyjna i rytmiczna, jak klasyczny taniec salonowy.

Taką łaciną mówił pewnie Cyceron czy Wergiliusz. Może to jednak prawda, że pan Wiktor jest czarownikiem i od niepamiętnych czasów żyje, myślał często proboszcz, ale tymi myślami nie dzielił się z nikim.

Tak w Sowiej Górcie płynął dzień za dniem, odmierzany czasem prac gospodarskich, pełen zabiegania i domowych kłopotów.

Stary Ignacy martwił się, że mu coraz trudniej koło gospodarstwa chodzić. Sołtys głowę sobie łamał, jak sąsiadów do budowy wodociągu namówić. Pan Kazimierz szukał kupców na ostatki zeszłorocznych owoców i za nowalijkami zaczynał się rozglądać. A pan Wiktor... ?

Pan Wiktor niepokoił się coraz bardziej. Czuł, że jego moc stopniowo słabnie, a wezwania od naczelnego maga jak nie ma, tak nie ma. W obecnych czasach, przy tylu zagrożeniach na ludzi czyhających, nawet taki czarownik jak on powinien częściej niż dawniej akumulator ładować. Oczekiwał więc niecierpliwie wezwania na rytualne obrzędy.

Pewnej nocy przyszło. Poznał natychmiast; tym razem był to sygnał magii tajemniczych Etrusków. Szafir w platynę i złoto oprawiony, który jako pierścionek na palcu nosił, zabłysnął jaskrawym, błękitnym światłem i skrami zaczął sypać. Znak, że wezwanie należy uważać za pilne. Mógłby w jednej chwili magicznym sposobem przenieść się na miejsce spotkania, ale to zbyt duży wydatek energii, ruszyć więc postanowił w podróż jak każdy zwykły śmiertelnik. Skoro świt багаż spakował, założył magiczną osłonę na swój dom i ogród, i powiedziawszy pani Jadze, aby jego nieobecność tłumaczyła wyjazdem do Włoch na odpoczynek, w zamówioną taksówkę wsiadł i do Warszawy na lotnisko pojechał.

I nikt, naprawdę nikt nie przeczuwał, że zbliża się czas trudny, który jak kamień probierczy oceni ludzkie charaktery.

Susza tego roku wielka była nad wyraz

Późna wiosna i wczesne lato były tego roku suche i gorące nad wyraz. Zdawać by się mogło, że przyroda, zmagazynowawszy zbyt duży zapas słońca i upału, wydaje teraz wszystko jak leci, aby zgromadzony towar przeterminowaniu nie uległ. Od samego rana do wieczora niebo czyściutkie było i błękitne, jakby Sowa Górcza nad Bosforem leżała, a jaskrawe słońce paliło jak, nie przymierzając, rozgrzana do czerwoności patelnia.

Początkowo ludzi letnia wręcz pogoda cieszyła. Szczególnie młode dziewczyny uradowane były, mogąc wcześniej niż zwykle cieniutkie bluzeczki założyć i rozkwitającymi wdziękami chłopaków kusić.

Później jednak codzienny upał męczyć począł i ludzi, i zwierzęta, i mówiąc szczerze, wszystko, co żyje. W końcu nawet Moczydło - staw za wsią leżący, zamienił się w bajoro. Tam, gdzie dawniej pojono powracające z pastwisk bydło, teraz wpół ugotowane żaby ledwo łążyły. Zwabiło to stada bocianów, które tu smaczną wyzerkę miały.

- Bociany nad Moczydłem się kręcą - powiedział stary Ignacy do kilku plotkujących pod sklepem młodych kobiet. - Uważajcie, kobitki, żeby wam czego paskudnego nie przyniosły.

- Paskudne bytoby, gdyby od was, panie Ignacy, było. Bo przecież urodziwy to pan nie jest - odparła jedna z nich, pyskata jak wszystkie baby w jej rodzinie.

Pozostałe parsknęły głośnym śmiechem.

- Wasze matki inne zdanie miały - burknął Ignacy, urażony do głębi.

Na to trudno było znaleźć kobietom odpowiedź, bo przecież wiadomo, że stary Ignacy w młodości żadnej dziewczusze we wsi nie przepuścił. Nie zawsze, zresztą, z własnej nieprzymuszonej woli.

Przedłużająca się susza martwiła panią Jagę, która pod nieobecność mistrza czuła się za wieś odpowiedzialna. Prawda, że pan Wiktor pouczył ją, jak należy go wezwać w razie pilnej potrzeby, w razie gdyby wsi klęska jaka zagrażała. Ostrzegł jednak, że wezwanie to duży dla wzywającego wysiłek, który ogromnym osłabieniem, a nawet zawałem serca może się zakończyć. Dlatego postanowiła ten moment odwlec. Może sam zdąży na czas wrócić?

Żałowała, że tak mało o magii wie, ale przecież dotąd takiej potrzeby nie było. Kto jej pomoc może w wybraniu odpowiednich środków?

Po namyśle na motorower wsiadła i do Brzuchlina, do pani Klary pojechała, aby ta męża nieboszczyka o radę zapytała. Bo trzeba wiedzieć, że seanse spirytystyczne pani Klary znane były nie tylko w mieście, ale i w całej okolicy.

Obie panie znały się od dawna. Ba, przyjaźniły się nawet. Pani Jaga, skora do niesienia pomocy wszystkim potrzebującym, niejedną raz pani Klarze różne zioła przywoziła, co dla niej, z niewielkiej

emerytury żyjącej, było dużą pomocą. Kiedyś nawet pani Jaga swojego autorytetu zasłużonej pielęgniarki użyć musiała, aby młodsze koleżanki, opieką środowiskową się zajmujące, nakłonić do większej dbałości o samotną staruszkę. Na niewiele to się zdało, dopiero świerz, który na jedną z nich sprowadził, przekonał pannice, że to nie żarty i odtąd pani Klara miała o wiele lepszą opiekę.

Tym razem pani Jaga była bardzo strapiona i tym swoim strapieniem podzielić się musiała z przyjaciółką. Co zrobić, jakich sposobów użyć, aby Sowią Górkę od klęski uchronić? Na to tylko duch pana Floriana mógłby odpowiedzieć. Wiadomo, tam w zaświatach wie się dużo więcej niż tu, na ziemskim padole.

Pani Klara nie odmówiła pomocy. Oczywiście, zapyta jeszcze dzisiaj, a kiedy już się dowie, zaraz do Sowiej Górki z pocztą zatelefonuje.

Jak pani Klara ducha nieboszczyka męża wywoływała

Pani Klara to ostatnia dama, subtelna jak luksusowe, paryskie perfumy. Na oko krucha niczym porcelanowa farfurka, jednak wszystkie przeciwności losu znosiła mężnie, bez biadolenia, z godnym podziwu hartem ducha. Dożywała swoich emeryckich lat, za jedyną pociechę mając wspomnienia o nieboszczyku mężu - Florianie, za życia radcy prawnym w Gminnej Spółdzielni, zlikwidowanej jakiś czas temu.

Późnymi wieczorami urządziła seanse spirytystyczne dla swoich nielicznych już przyjaciółek, a najczęściej dla samej siebie. I właśnie wtedy wywoływała ducha zmarłego małżonka. Trzeba powiedzieć szczerze, pan Florian zawsze przychodził na żonine wezwanie. Ba, czułby się nawet zawiedziony, gdyby „kochana Klarcia” zrezygnowała z nocnej pogawędki. Nawet niezbyt logiczne, zwyczajowe wezwanie „duchu jeśli jesteś - zastukaj raz, a jeśli cię nie ma - zastukaj dwa razy”, nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi, choć za życia był z niego raptus co się zowie. Przychodził, stukał i obracał talerzykiem jak należy, ku wielkiej radości biednej wdowy.

Przyszedł i tym razem, choć bardzo naburmuszony. Już od progu wytknął zaskoczonej złym humorem męża pani Klarze, że gdyby go nie było, to za żadnego chińskiego boga nie mógłby zastukać nawet raz. Prawdziwy szaf go ogarnął, gdy usłyszał, po co go tym razem wezwała. Co go obchodzi jakaś Sowia Górka? Ze złości aż potłukł kryształowy wazon, który wiele lat temu żonie na imieniny kupił. Trzeba tu zdradzić powody nagłej złości pana Floriana. Wezwanie żony zastało go przy partii brydzyka. Grywał bowiem czasem, za partnerów mając: weterynarza, zażywnego księdza i lekarza. Tego właśnie wieczoru szła karta panu Florianowi jak rzadko. No i musiał od stołu odejść, a czego się przy tym nasłuchiwał, to nawet przykro wspomnieć.

Weterynarz grubiańsko warknął: „Radcunio nawet odegrać się nie dasz. Żonka to pewnie wzywa na zamówienie?” Pał diabli weterynarza - za życia więcej czasu spędził w stajniach i oborach niż wśród ludzi, więc stał się w końcu gruboskórny jak jego pacjenci. Co gorsza, nie zamilczeli i pozostali partnerzy. Księżulo, tasując karty, pomrukiwał sentencjonalnie: „Jak kocha, to poczeka, panie dzieju. To poczeka”, zaś doktor - za życia podstarzały małomiasteczkowy lowelas, zaproponował nawet, że do Klarci zamiast niego, znaczy się Floriana, pójdzie. I jak się tu nie złościć?

Jak to bywa z raptusami, wyfukał się w końcu pan Florian, a widząc łzy w oczach małżonki, poczuł skruchę i obiecał, że wszyściutkiego się dowie i jutro w nocy dokumentnie opowie co i jak.

Następnego wieczoru, chcąc żonie przykrości nagrodzić, stukał stolikiem aż dudniło, talerzykiem wywijał i komplementy prawił, jak to czasem, jeszcze za życia, robił. Natomiast na zadane przez nią pytanie zbyt dużo powiedzieć nie mógł. Dowiedział się tylko, że należy pomówić z nauczycielem - panem Kazimierzem, bo ten stare obrzędy spisywał i pewnie jakiś na sprowadzenie deszczu w swoich notatkach znajdzie.

Następnego dnia podreptała pani Klara na pocztę i do Sowiej Górki do pani Jagi zadzwoniła, przekazując jej tę wskazówkę.

Jak sowiogórkowanie suszy chcieli zaradzić

Pierwsza konceptem ruszyła stara Tekla. Pamiętała jeszcze dawne sowiogórkowiańskie obrzędy magiczne, które do sprowadzenia deszczu służyły. W tajemnicy przed wszystkimi domownikami wezwała dwójkę swoich prawnuków i surowo im przykazała, aby, nikomu nic nie mówiąc, pod wieczór nałapali żab w Moczydło i uwiązali je za tylne nogi do gałęzi krzaków, brzeg stawu porastających. Wiadomo przecież, że skrzeczenie żab, wysychających w ciepłym powietrzu, niechybnie deszcz sprowadzić musi.

Chłopaki, obiecując sobie niezłą zabawę z polowania na żaby, zebrali gromadkę rówieśników i ruszyli nad Moczydło. Zmierzchało już, gdy umazani błotem po uszy kilka żab schwyтали i uwiązali je, jak

prababka nakazała, do nadbrzeżnych krzaków. Długo w noc darły się biedne, umęczone płazy jak opętane. Ale ludzie zawsze wiedzą lepiej, co i jak czynić należy.

Dzień wstawał pogodny. Niebo czyściutkie było i błękitne, jakby Sowia Górka nad Bosforem leżała. Mimo wczesnej pory jaskrawe słońce paliło jak, nie przymierzając, rozgrzana do czerwoności patelnia.

Do południa było jeszcze daleko, ale upał już dawał się we znaki, więc proboszcz rozłożył leżak pod starą jabłonią i odziany tylko w szorty i podkoszulek starał się w cieniu wolny czas spędzić. Książkę czytał, od czasu do czasu soczek jabłkowy z lodem dla ochłody popijał i z coraz większym trudem senność powstrzymywał, ale w końcu rozgrzane powietrze i jednostajne brzęczenie owadów całkiem go zmogły. Zasnął tak mocno, że nawet nie poczuł, jak mu książka z bezwładnych rąk wypadła. Obudził go gwar kobiecych głosów, w którym wyraźnie głos swojej gospodyni odróżnił, przed czymś energicznie protestującej. Usłyszał właśnie, jak gospodyni mówi podniesionym głosem, aby go obudzić, jeśli zasnął: „Nie puszczę żadnej z was do proboszcza. Ksiądz dobrodziej jest teraz w sadzie i brewiarz czyta. Przeszkadzać mu nie wolno”. W odpowiedzi buchnął gwar gniewnych głosów i czuło się wyraźnie, że opór gospodyni nie zda się na wiele.

Proboszcz szybko poszedł do swojego pokoju, aby choć sutannę narzucić, bo dopiero byłoby gadanie we wsi, gdyby tak, w stroju niemal plażowym, przed parafiankami stanął. Po drodze jeszcze dłonią włosy przygładził i do saloniku wszedł. Otoczyła go gromadka starych, ubranych na czarno kobiet, wzburzonych niedawnym oporem gospodyni.

- Mówcie, kobiety, co się stało? O co wam chodzi? - spytał.

- Wszystkie, jak tu jesteśmy - powiedziała najstarsza z nich, ośmielona proboszczowym spokojem i powagą swojego wieku - chcemy iść z procesją w pola, z księdzem proboszczem, krzyżem i figurą św. Józefa, patrona naszej parafii. Niech nasz patron wyprosi u Boga deszcz, choćby i niewielki.

Proboszcz podszedł do okna i popatrzył na pola, nad którymi falowało powietrze, rozgrzane w południowym skwarze.

- Dobry Boże! - jęknął. - Opamiętajcie się, kobiety! Toż to czyste pogaństwo, a na dodatek jakiego porażenia w takim upale dostaniemy!

Odpowiedzią były zacięte twarze i złe spojrzenia.

- Dobrze - rzekł zrezygnowany. - Pójdziemy za dwie godziny, ale przynajmniej ubierzcie się lekko.

Dwie godziny później na plebanii stały się wszystkie, wbrew ostrzeżeniom ubrane w czarne odświętne suknie, z plastikowymi butelkami napełnionymi wodą w rękach. Dwóch ministrantów, jeden z krzyżem, drugi z figurą patrona parafii, stanęło na czele procesji i ruszyli tłumnie na pola, niemal skwierczące od upału. Proboszcz kropidłem wymachiwał nad każdym polem i modlił się o powrót rozumu do głów dewotek, a te śpiewały nabożne pieśni i wodą z butelek polewały krzyż i figurę świętego.

Nie trwało to zbyt długo, głosy śpiewające pieśni zaczęły słabnąć, nikt już nie podbiegał z butelką wody na czoło procesji, do krzyża i figury. Aha, mają już dosyć, domyślił się proboszcz, i faktycznie, babiny zmęczone upałem ledwie ciągnęły nogi. „Wystarczy księżu dobrodziej, wystarczy”, mamrotały, przysiadając ciężko na miedzy.

Teraz w proboszcza jakby złe wstąpiło:

- A! Wy egoistki! - wrzasnął rozgniewany. - Starczy, bo obeszłyście swoje pola?! A pola sąsiadów?! - I odwracając się do nich plecami, rzucił przez ramię: - Idziemy dalej!

Poszły postępując. Po kilku krokach proboszcz zmieknął. Jeszcze mi tu która zawału dostanie i będę, durną, miał na sumieniu, pomyślał. Zatrzymał ministrantów i zapytał:

- Macie w domu komputery?

- Mamy! - odparli zdziwieni.

- To pod wieczór przyjdźcie na plebanie, wybierzecie sobie jakie gry - wyjaśnił, bo będąc człowiekiem sprawiedliwym uważał, że każda praca powinna zostać należycie nagrodzona. - Teraz zanieście krzyż i figurę na plebanie, a po drodze powiedzcie, żeby tu przyszło kilku młodych gospodarzy i te wrony - tu proboszcz ruchem głowy wskazał babiny, które rozmamłane po pas niemal, ciężko człapały miedzą - sprowadzili do wsi, bo mi tu która udaru dostanie i będę miał ją na sumieniu.

Obaj chłopcy, uradowani przyobiecaną nagrodą, ruszyli biegiem, tylko im pięty migają po miedzy. Niedługo trwało, a ze wsi wyszło kilku młodych mężczyzn i kopnęło się w pole, po przemęczone kobiety. Bo wiadomo, proboszczowe sumienie - święta rzecz i nie należy go na szwank z byle powodu narażać.

Ani jedna, choćby najmniejsza, chmurka nie pokazała się na niebie, które czyściutkie i błękitne było, jakby Sowia Górka nad Bosforem leżała, a jaskrawe słońce paliło jak, nie przymierzając, rozgrzana do czerwoności patelnia.

Tego samego dnia, jeszcze przed południem, zadzwonił telefon w domu pani Jagi. To pani Klara zgodnie z obietnicą przekazywała wieści, jakie z zaświatów od ducha małżonka otrzymała. Upał, nie upał, należało więc iść do domu nauczyciela.

Na obszernej werandzie, obrośniętej dzikim winem, siedzieli: pan Kazimierz, sołtys i stary Ignacy, pogadując leniwie w przyjemnym chłodzie. Pani Zosia - żona pana Kazimierza, wniosła właśnie herbatę i szarlotkę, gdy weszła pani Jaga. Gościwna pani Zosia posadziła ją zaraz w najbardziej zacienionym miejscu, aby trochę ochłonęła po długim spacerze w pełnym słońcu.

- Panie Kazimierzu - zapytała pani Jaga - podobno, swego czasu zapisywał pan stare obrzędy związane z rolnictwem. To prawda?

- Prawda, prawda - potwierdził niechętnie.

Tak było rzeczywiście. Przez wiele lat zbierał wiadomości o starych obrzędach, związanych z magią rolniczą. Gdyby pracę skończył kilka lat wcześniej to pewnie dostałby jaką państwową nagrodę, a wydawnictwa zabiegałyby o możliwość druku, bo praca była obszerna i wnikliwa. Niestety, spóźnił się, a w obecnych czasach już nikogo nie obchodziły ludowe obrzędy, więc pan Kazimierz, rozgoryczony, maszynopis zawiązał w starą gazetę, obwiązał sznurkiem i wyniósł na strych. Jeszcze jedna zbędna, do niczego nieprzydatna praca. Na prośbę pani Jagi przyniósł ją jednak, rozpakował i zaczął szukać odpowiednich informacji.

- O, mam! - powiedział głośno, ale zaraz dodał: - No, nie... nie będziemy przecież zabijali psa. - A widząc zaskoczone miny całego towarzystwa, wyjaśnił: - To obrzęd zapewniający urodzaj.

- A deszcz sprowadzi? - spytał sołtys.

- Nic takiego nie zapisałem, więc pewnie nie.

- No, to nie będziemy zabijali psa! - stwierdził stanowczo sołtys.

- Nie, nie będziemy - zgodnie poparli go pozostali.

- O, mam! Tym razem będzie o deszczu - powiedział pan Kazimierz z radością w głosie.

Wszyscy przysunęli się bliżej, aby nie uronić ani jednego słowa, a pan Kazimierz czytał głośno: - „Gdy trzeba było położyć kres suszy i sprowadzić deszcz, dziewczęta i młode kobiety wychodziły nocą na pola, rozbierały się do naga i polewały wodą granice wsi. - Pan Kazimierz odczekał chwilę i dodał: - A potem pewnie wszyscy mieszkańcy bawili się do białego rana.

- Przecież może być z tego jaka rozpusta - jęknął sołtys. - Proboszcz głowę mi urwie!

- Można przypilnować - powiedziała pani Jaga. Staremu Ignacemu, chociaż od dawna patrzył na kobiety jak na kołki w płocie, dziwnie zabłyśły oczy i zaczął powtarzać: „O, o, to jest niezłe, całkiem niezłe”. Pani Zosia nie powiedziała nic, tylko wciągnęła głośno powietrze i wypinając zgrabny biuścik, przeciągnęła się w sposób, który pana Kazimierza trochę zaniepokoił. Nawet sołtysowi, chociaż nie dawała mu spokoju obawa przed reakcją proboszcza, poczerwieniały uszy. Tylko pani Jaga miała poważną minę i potraktowała sprawę rzeczowo, jak na fachowca od magii przystało.

- To dziś o zmierzchu? - zapytała sołtysa.

- O zmierzchu - potwierdził zrezygnowany. - Zaraz wszystkich powiadomię.

Po domach rozpoczęły się narady: iść na nocne obrzędy czy nie iść. Puścić dziewczyny, czy przypilnować, żeby pod żadnym pozorem wieczorem z domu nie wychodziły. Kilka młodych mężatek postanowiło, tak czy siak, wykraść się z domu i w obrzędach wziąć udział. Ponieważ takie same rozterki przeżywali i ich mężowie, więc sytuacja od samego początku groziła poważnymi konfliktami.

Po zmierzchu na łące przy stawie zebrała się prawie cała wieś. Rozpalono duże ognisko, na grillu w żarze drzewnego węgla opiekaly się kiełbaski, ustawiono skrzynki z butelkami piwa i wina o swojskiej nazwie „Wino”, a miejscowa kapela cicho grała ludowe melodie.

Starsi gospodarze i ich małżonki przyszedli pilnować córek, bo wiadomo, obrzędy obrzędami, a cnoty durnych dziewczuch strzec trzeba, żeby ich potem na jęzory nie wzięto. Na miejscu również zostali młodzi mężczyźni, jedni niby pilnując żon, co teraz gołe po polach biegały, inni z czystej ciekawości, a wszyscy z nadzieją na dobrą zabawę, a może i coś więcej.

W świetle "księżycy daleko w polach migały białe sylwetki, to dziewczyny i młode kobiety dopełniały rytuału zraszania wodą granic wsi. Niedługo potem zjawiły się na łące roześmiane, jeszcze podniecone niedawną swoją nagością, mokre od stóp po głowy, bo już po zakończeniu obrzędu i włożeniu ubrań wychlapowały resztę wody na siebie. Stały przy ognisku, susząc mokre sukienki. Podano im zaraz kiełbaski i piwo. Wśród zebranych na łące zaczęły krążyć butelki z trunkami.

Nad Sowią Górką gasły gwiazdy, przysłaniane chmurami, które z wolna zaczęły pokrywać niebo. Daleko na horyzoncie mignął zygzak błyskawicy, potem drugi i trzeci. Mocniej zadymiło ognisko, a słup dymu układać się począł w dziwne postaci, jakby duchy dawnych mieszkańców tej ziemi chciały wejść między

swoich następców i chociaż przez tę jedną noc z nimi pozostać. Kapela rznąła od ucha i na łące zaczęła się zabawa. Do tańca ruszyli młodzi i starzy. Tajemnicze postaci zageściły roztańczony krąg, wirując między ludźmi. W końcu starsi poczuli zmęczenie i przysiedli na boku, wspominając dawne czasy. Kapela przestała grać, znów zaczęły krążyć butelki z piwem i winem. Starsi sowiogórkowianie poczuli w końcu zmęczenie i z wolna porozchodzili się po domach.

Młodzi chcieli bawić się dalej, ktoś przyniósł magnetofon i zaraz zadudniła muzyka disco, a na łące skłębił się tłum tańczących młodzieżowe tańce. Tego jednak stary obrzęd nie przewidywał. Chmury, które już zaczęły się nad Sowią Górką kłębić, rozeszły się nagle. Tajemnicze postaci z dymów ogniska ułożone, wirujące poprzednio w tanecznym kręgu, rozwiały się bez śladu. Ognisko przygasło, tylko księżyc świecił jak latarnia na bezchmurnym niebie.

Stało się to, czego obawiał się sołtys i trochę pan Kazimierz. W rozgrzanych upałem młodych ciałach, podlanych obficie piwem i winem marki „Wino”, rozszalały się hormony. Tańczące dotychczas pary ze śmiechem i pohukiwaniem rozbiegły się po łące i pobliskich chaszczach.

Bo kto w gorącą, w wiosenną noc ludzi powstrzymać zdoła? Kto buzującym hormonom spokój nakazać może? Szczerze mówiąc, żaden rozsądny człowiek próbować nawet nie powinien.

Pan Kazimierz pozostał w domu. Co prawda, miał wielką chęć obrzędy zobaczyć, ale bał się reputację stracić, jeśli wszystko nocną orgią się zakończy. Siedział więc w kuchni, papierosy palił, coraz to nową kawę parzył i próbował skupić uwagę na książce, którą koniecznie postanowił przeczytać. Od czasu do czasu do sypialni zaglądał, udając, że sprawdzić chce, czy żonie śpi się dobrze, ale tak naprawdę z ulgą stwierdzał, że jest, że śpi, posapując przez sen w dusznym pokoju. Pani Zosia była kobietą jeszcze młodą, choć nad wiek poważną, ale kto może wiedzieć, co kobiecie, choćby i najbardziej statecznej, w taką noc do głowy wpadnie, a jak mówi stare porzekadło: „Strzeżonego sam Bóg strzeże”. Strzegł więc pan Kazimierz swojego ogniska domowego z pełnym poświęceniem. Położył się do łóżka, gdy wstający świt mieszkanie rozwidnił, spokojny, że żona w nocy z domu nie wychodziła, choć tak naprawdę głowy by za to nie dał.

Dzień wstawał pogodny. Niebo czyściutkie było i błękitne, jakby Sowią Górką nad Bosforem leżała.

Mimo wczesnej pory jaskrawe słońce paliło jak, nie przymierzając, rozgrzana do czerwoności patelnia.

Od samego rana w Sowiej Górcie nastął sądny dzień, bo mimo wczesnej pory już we wsi wiedziano o orgii na łące. W domach pochlipywały młode dziewczyny, którym rodziciele skóry tego wygarbowali za nocną rozpustę. Młode kobiety, przez mężów na zdradzie przyłapane, miały podsinione oczy i guzy. Również mężczyźni zakrywali wstydliwie podrapane twarze i inne ślady małżeńskich nieporozumień.

Powiedzieć trzeba otwarcie, że na małżeńskich dyskusjach to jednak kobiety wyszły dużo gorzej. Bo o ile pięści rozsierzonych małżonków ani na jotę nie były mniej twarde niż pięści ich ojców czy dziadków, to jakie argumenty miały zdradzone żony, by niewiernych mężów na drogę cnoty nawrócić? Tłuc zdrajców odkurzaczami? Matki czy babki w takich przypadkach używały znacznie poręczniejszych kijów od szczotek lub mioteł. A znów, jakim argumentem w małżeńskiej dyskusji był taki nowomodny garnek w porównaniu z matczym solidnym żeleźniakiem ?

Tak, tak. Nowoczesność, wbrew pozorom, wcale nie jest kobietom przyjazna, a wręcz przeciwnie. Nowoczesność tylko pogłębia tradycyjną ich dyskryminację.

Późnym popołudniem sołtys zwołał zebranie sowiogórkowian w dawnej szkole. Sytuacja stała się trudna jak nigdy dotąd i najwyższa pora, aby podjąć konkretne decyzje.

Sala dawnej szkoły zaczęła się z wolna zapełniać. Sołtys chwilę rozmawiał z panem Kazimierzem, a potem zasiadł za prezydialnym stołem. Słońce już zaszło, zrobiło się nieco chłodniej.

Sołtys postukał dłonią w blat stołu, żeby zebranych uciszyć, i zagał:

- Słuchajcie, ludzie, susza taka, że nie daj Bóg, to wszyscy wiecie. Woda nawet w studniach się kończy. U mnie, przykładowo, to bywa, hydrofor w godzinę beczki wody napompować nie uradzi. Mus nam pomyśleć, co robić, żeby żywina nie zaczęła z pragnienia padać.

„Gdzie pan Wiktor?”, padły głosy z sali. „On by nam migiem pomógł”.

- Pan Wiktor podobno wyjechał i nie wiadomo, czy wróci - odparł sołtys. - Kto wie, może obraził się na nas, albo co?

- Gdybyśmy tak jezioro mieli - rozmarzył się jeden z młodszych gospodarzy - nie byłoby teraz kłopotu.

- Można by wykopać - dodał inny.

- Jezioro wyschnie, rzeka by się zdała - padło z sali.

- Prawda, w rzece zawsze wodę znajdzie - powiedział stary Ignacy i ciągnął dalej: - Wykopmy rzekę i nazwijmy ją... Wisła.

- Co wy, Ignacy - skrzywił się sołtys - przecież Wisła już jest.

- To nazwijmy ją Wisła II - odparł Ignacy, który swój pomysł zdążył już polubić.

- Wisła II?

- No, teraz wszystko się numeruje - upierał się Ignacy - to niby dlaczego nie możemy mieć Wisły numer dwa?

Podniosła się wrzawa, jak zwykle każdy chciał błysnąć lepszym pomysłem na nazwę niż sąsiedzi: „Sowiogórkowianka”, „Sówka”, „Górkowianka”, padało z sali.

Pan Kazimierz przez jakiś czas słuchał cierpliwie, potem popukał się palcem w czoło i wzruszając ramionami, wyszedł na korytarz.

Sołtys rychło zmiarkował, że dyskusja zeszała na manowce i głosem próbował zebranych uciszyć. Gdy mu się to nie udało, zerwał but z nogi i co siły zaczął nim walić w stół. Jednak miękka podeszwa adidasa w zderzeniu z masywnym blatem wydawała tylko głuche młaińnięcia, ginące w hałasie. Ze złością but na nogę nasadził, wyszedł z sali i zgasił światło. Nagła ciemność otrzeźwiła rozpalone umysły. Wszyscy rzucili się do wyjścia, robiąc tłok w drzwiach.

Sołtys zatrzymał wychodzącego Ignacego.

- Słuchajcie, Ignacy - rzekł - mus nam zobaczyć, co z panem Wiktorem, albo i popytać panią Jagę.

- Ano, mus - potwierdził Ignacy.

-Pójdziemy przed południem, bo potem gorąc będzie taki, że nie daj Bóg.

Późnym wieczorem do proboszcza dotarła wieść o nocnej rozpuście. Biedny kapłan aż zamarł ze zgrozy, obiema garściami czuprynę szarpał, bo jakże to, po tylu latach pracy, tyle jeszcze upartego pogaństwa.

Dewotki, chcące na Stwórcy wymusić deszcz, jakby to był jakiś hydraulik, co odkręci kran i woda polecą kiedy baby chcą i tam, gdzie chcą. We wsi czarownik i znachorka, a teraz pogańskie nocne obrzędy zakończone orgią!

„Za co mnie to spotyka”, jęczał proboszcz i z obawą patrzył w niebo, jakby bał się usłyszeć, że jakoś się go tam nie lubi. Długo w noc szlifował głową kamienną poduszkę, nie mogąc usnąć z troski. Postanowił w końcu, że pokuty będzie odtąd wszystkim parafianom srogie zadawał, bez żadnego wyjątku, bo skoro była wspólna wina, to i surowa kara wspólną być musi. I z tym postanowieniem usnął wreszcie, gdy już wstający dzień dobrze sypialnię rozwidnił.

Od samego rana niebo czyściutkie było i błękitne, jakby Sowie Górkę nad Bosforem leżała. Mimo wczesniej pory jaskrawe słońce paliło jak, nie przymierzając, rozgrzana do czerwoności patelnia.

Tego dnia stary Ignacy radosny był jak skowronek, bo też powody miał do tego nie byle jakie.

Wieczorem syn - jednak i spadkobierca, do starych ojców wrócił. Syn, który wiele lat temu na lekki chleb do miasta wyjechał, pracę w dużym zakładzie miał i bożył się, że na wieś nigdy w życiu nie wróci - wrócił wraz z żoną i dwoma synkami. Z wnuków szczególnie rad był stary Ignacy. Szkraby ledwie brodami stołu sięgały, a zaraz cały dom, duży i poprzednio ponury, rozjaśniał i poweselał.

Nie dziwota, że stary Ignacy wdzięczny był rządowi w dalekiej Warszawie za zlikwidowanie owego zakładu. Za pozbawienie syna pracy i mieszkania w mieście, za zmuszenie go do powrotu na wieś. Nie pójdzie w obce ręce Ignacowy dorobek, nie pójdzie!

Tak rozmyślając, stary Ignacy dziarsko dotrzymywał kroku sołtysowi. Ten jednak, jako osoba urzędowa, myśleć musiał o sprawach całej wsi, więc do radości było mu daleko. Doszli wreszcie do łąki przy Moczydle.

- Poczekajcie, Ignacy - powiedział sołtys, czując napór na pęcherz. - W taki gorąc człowiek pije jak smok, to i łać musi.

- No - mruknął Ignacy i poszedł za sołtysem w stronę krzaków. - A znowuż, taka kura to pije, a nie leje - powiedział, stając w zaroślach.

Przez chwilę, w milczeniu, bulgotali po obu stronach gęstego krzaka.

- Ciekawość - powiedział sołtys, starannie zapinając rozporek - przykładowo, taki wielbłąd, jak na pustyni nie pije, to leje czy nie leje?

- Pewnie leje - odparł Ignacy, wycierając opryskaną nogawkę.

- E, kto go tam wie - powątpiewał sołtys. - Wielbłąd to taki dziwny zwierz. Może leje, a może nie. Trzeba by kogoś spytać. - Chwilę stał w milczeniu, obserwując Ignacego, pracowicie osuszającego nogawkę.

- Dajcie spokój portkom, Ignacy - rzekł w końcu, poirytowany. - W taki upał same wyschną.

Poszli w stronę domu pana Wiktora. Widok ogródka za płotem różnił się bardzo od wszystkiego, co widzieli wokół siebie. Jaskrawe barwy kwiatów, świeża zieleń drzew i trawy, całkiem nie pasowały do otoczenia umęczonego skwarem.

Sołtys szarpnął furtkę. Ani drgnęła. Ignacy spróbował sięgnąć nad płotem, ale jego ręka napotkała opór niewidzialnej ściany. Sięgnął ponownie. Jakaś siła odrzuciła go z taką mocą, że aż musiał się cofnąć, aby utrzymać równowagę. Podniósł kamień i rzucił go w stronę domu, a ten, odbiwszy się od niewidzialnej

przeszkody, przeleciał mu nad głową. Ignacy nie dał za wygraną, chwycił drugi kamień i cisnął go mocniej niż poprzednio. Odbity kamień ze świstem przeleciał tuż nad głową sołtysa, tak nisko, że ten odruchowo przykucnął.

- Ogłupieiliście Ignacy, czy co?! - wrzasnął ze złością. - Przestańcie praskać kamieniami, bo głowy nam porozbijacie! Myślicie, że pan Wiktor zostawił obojęcie bez opieki?

- Nie ma rady - powiedział stary Ignacy. - Trzeba zająć do pani Jagi, popytać, co i jak.

Dom pani Jagi stał wśród dobrze utrzymanego sadu, ale i tu już widać było skutki suszy, choć, prawdę mówiąc, zbiory jabłek i gruszek, bo te głównie gospodyni hodowała, zapowiadały się lepiej niż u innych sowiogórkowian. Zaraz można było poznać, że pani Jaga znacznie ustępowała swojemu mistrzowi w sztuce czarów.

W drzwiach stanęła gospodyni - niemłoda ale zadbana kobieta. Starannie uczesana, w jasnej, letniej sukience, promieniała tym statecznym wdziękiem, który tylko mężczyźni, będący w odpowiednim wieku, należycie ocenić potrafią.

- Witajcie, sąsiedzi - powitała ich, wyraźnie zadowolona z odwiedzin. - Co was sprowadza?

I nie czekając na odpowiedź, zaprosiła obu do mieszkania. Gdy z ulgą, zmęczeni upałem, usiedli przy stole, postawiła przed nimi wysokie szklanki i spytała: - Czego się pan napije, panie Ignacy, mineralnej czy może soku z pomarańczy? A pan, sołtysie?

Ignacy wybrał wodę. Mimo sympatii, jaką miał dla pani Jagi, jak zresztą wszyscy sowiogórkowianie, czuł się pewniej, pijąc u niej płyny przeźroczyste. Sołtys natomiast, chociaż w upał „pił jak smok”, tym razem podziękował. Pani Jaga z dzbanka nałala Ignacemu wodę mineralną, widać dobrze wychłodzoną, bo szklanka pokryła się zaraz kroplami rosy.

- A ja napiję się soku - powiedziała, nalewając w swoją szklankę pomarańczowy płyn z tego samego, co poprzednio, dzbanka. W całym mieszkaniu zapachniało pomarańczami, tak apetycznie, że sołtys odruchowo przełknął ślinę.

- Może ma pan ochotę na piwo? - spytała. - Może być „Żywiec”?

- O, tak, chętnie - odparł sołtys. Nie, żeby specjalnie w piwie gustował, ale bardzo chciał zobaczyć, jak pani Jaga wodę w piwo przemieniać będzie.

Pani Jaga z figlarnym uśmiechem wyjęła z lodówki butelkę piwa, otwieraczem zerwała kapsel i wlała do szklanki sołtysa złocisty napój, z wysoką, białą grzywą piany.

Gdy już opróżnili szklanki, spytała: - No, moi drodzy sąsiedzi, mówcie, co was do mnie sprowadza?

- Mus nam się dowiedzieć - odparł z namysłem sołtys - co się dzieje z panem Wiktoorem? Bo to susza straszliwa. Zbiory pewnie kiepskie latoś będą, a jego jak nie ma, tak nie ma. Wyjechał gdzie, czy co?

- Wyjechał - potwierdziła pani Jaga. - Od lat we wsi murem siedzi, to raz wziął urlop i do Włoch pojechał, w ciepłym morzu się wymoczyć.

- Wymoczyć to się mógł w Moczydle - burknął sołtys.

- Cha, cha, cha!... - zaśmiała się pani Jaga. - W Moczydle to teraz żaby ledwie pępki zamoczyć mogą.

- To żaby pępki mają? - zdziwił się stary Ignacy i aż ze zdziwienia usta otworzył.

- To taka przerośnia - wyjaśniła pani Jaga.

Teraz z kolei zdziwił się sołtys, choć nic po sobie poznać nie dał. Przerośnia. Ki diabeł?! Trzeba nauczyciela spytać, postanowił. Bo zawsze uważał, że jako urzędowa osoba każde słowo, choćby najtrudniejsze, znać powinien.

- A pana Wiktora nie dałoby się do powrotu wezwać? - spytał.

- Trudno będzie, ale zrobię, co w mojej mocy - obiecała pani Jaga.

W drodze powrotnej napotkali pana Kazimierza.

- Tak to i pana Wiktora nasza wieś obchodzi - powiedział z goryczą stary Ignacy. - Susza naród morzy, a on pojechał do Italiańców, wymoczyć się w ciepłym morzu. Też mi opiekun - dorzucił z przekąsem.

- Nie on jeden taki - dodał sołtys. - Jak kilka lat wstecz powódź ludzi topiła, to ten, co narodu miał bronić, też do Italiańców na wywczasie pojechał.

- Do Italiańców, na wywczasie? Niemożliwe - powątpiewał Ignacy.

- Prawda, sam się w radiowym wywiadzie przyznał - potwierdził pan Kazimierz.

- Zmusili go do tego - powiedział Ignacy z przekonaniem.

- Zmusili?

- No, drzazgi mu pewnie pod paznokcie wbijali, albo - tu stary Ignacy zniżył głos - klejnoty męskie imadłem gnietli. To co miał zrobić, biedaczek? Powiedział, co mu kazali, przecież to ból okrutny.

Stary Ignacy dobrze pamiętał z czasów młodości takie gnietenie. A chociaż dziewczuchy imadeł nie używały, to i tak nieraz świeczki mu w oczach z bólu stanęły.

- Dajcie spokój, Ignacy - powiedział sołtys. - Pani Jaga obiecała, że go zawiadomi, to słowa dotrzyma.
- Pewnie dotrzyma - powiedział bez przekonania Ignacy.
- Pewnie tak - dodał pan Kazimierz.

Po wyjściu gości pani Jaga zamyśliła się głęboko. Próbowwała coś na suszę zaradzić, ale bez skutku, co gorsza, zamęt we wsi jedynie powiększyła. Pan Wiktor nie wrócił, choć bardzo na to liczyła. Teraz jednak straciła wszelką nadzieję. Sytuacja wymagała szybkiego działania, bo każdy dzień dalszej zwłoki mógł tylko klęskę powiększyć. Ciężko wdychając, wyszła przed dom i stanęła pod dębem, rosnącym w rogu niewielkiego podwórka.

Oparła się plecami o gruby pień potężnego drzewa, jakby pomocy i ochrony od niego oczekując. Wzniosła obie ręce do góry, zamknęła oczy, wyobrażając sobie postać mistrza, i w wielkim skupieniu przesłała wezwanie. Z wzniesionych w górę dłoni wyleciała z głośnym trzaskiem złota iskra i wzbijała się w niebo. Jeszcze raz rozległ się trzask, jak strzał z bata, i iskra zniknęła. Pani Jaga upadła zemdlnona u stóp starego drzewa, a dąb rozpostarł szeroko gałęzie, litościwie osłaniając ją przed palącymi promieniami słońca.

Zapadał już zmierzch, gdy kobieta podniosła się z ziemi i oparła dłonie o pień drzewa, czerpiąc z niego siły, a potem, jeszcze osłabiona, wolno ruszyła do domu.

Pan Wiktor w Italii

Na rzymskim lotnisku, w informacji, czekała na pana Wiktora wiadomość, w którym hotelu ma zamówiony pokój. Wielki Mistrz zatrzymał wszystkich w Rzymie, gdzie przybysze nie rzucali się w oczy w tłumie turystów, którzy o tej porze roku zapewniali wszystkie hotele, kłębili się na ulicach i placach. Stąd również nie było daleko do prastarej Tarquinii - celu podróży.

O zmroku szafir zaczął ponownie świecić. Pan Wiktor przebrał się w obrzędowy strój maga, tunikę przewiązał czarną szarfą - znakiem swojego stopnia wtajemniczenia, narzucił na ramiona ciemną pelerynę, zgasił w pokoju światło i czekał na swoją kolej w translacji na miejsce spotkania.

W jednej chwili znalazł się w obszernej grocie, przedzielonej brokatową kotarą na dwie części.

Stał w grupie magów z Europy i Azji Mniejszej. Byli tu ludzie różnych ras, potomkowie Gotów i Germanów, Celtów z Irlandii i Walii, Słowianie, Grecy, Turcy, nawet Mongołowie z plemion zamieszkujących Syberię. Zza kotary rozległo się wezwanie, zagrały fletnie i cytry. Cała grupa przeszła przez odchyloną kotarę do drugiej części groty, dołączając do przybyłych wcześniej.

Grota była olbrzymia, z wielkim paleniskiem wiecznego ognia pośrodku, oświetlona oliwnymi kagankami, rzucającymi żółtawe światło na nisze wykute w skalnej ścianie, w których stały brązowe popielnice z prochami starożytnych etruskich lukumonów. Wielki Mistrz rzucił w płomień wiecznego ognia kadzidło i słodka, upajająca woń rozeszła się po całej grocie. Dźwięki fletni i cytr rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Zaczęła się ceremonia.

Pan Wiktor poczuł, jak uwolniony z cielesnej powłoki unosi się coraz wyżej i wyżej, w rozgwieżdżone niebo, a jego umysł z wolna chłonie całą mądrość i moc wszechświata.

Zamilkł dźwięk cytr. Wielki Mistrz zakończył obrzędy i stał wyprostowany, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. W przestronnej grocie zadudniło: „Żegnam magów Indii, Tybetu i Dalekiego Wschodu” - grupa kobiet i mężczyzn, złożony Wielkiemu Mistrzowi ukłon, zniknęła za kotarą.

„Żegnam magów Australii i Oceanii”, zagrzmiało ponownie. Z kolei Wielki Mistrz pożegnał magów Obu Ameryk i magów Afryki. W końcu zostali pożegnani magowie Europy i Azji Mniejszej.

Pan Wiktor odetchnął z ulgą. Żył zbyt długo na otwartej przestrzeni, na skraju wsi, wśród pól, aby czuć się dobrze w ścisłości i duchocie. W rzymskim hotelu sprawdził datę. To, co wydawało mu się godziną, niechby dobą, trwało dziesięć dni. Miał jeszcze kilka dni w zapasie. Postanowił wykorzystać wolny czas na odwiedzenie starych kątów.

Syrakuzy. Kiedy tam był ostatnio? Jeszcze przed oblężeniem przez Rzymian. Piękne greckie miasto. Wtedy nic piękniejszego nie widział, młody był. Dopiero kilka wieków później, gdy mieszkał w Rzymie, Aleksandrii i w Konstantynopolu, zobaczył całe bogactwo i wspaniałość młodego jeszcze świata. Wędrując teraz po zabytkowych ruinach, rozmyślał nad przemijaniem czasu, tak różnym dla niego i dla ludzi oraz twórców ich rąk.

Wychodząc z hotelu, pan Wiktor spostrzegł złotą iskłę, która z cichym trzaskiem uderzyła w gałązkę figowego drzewa, opalając korę do gołego drewna. Jednocześnie rozjarzył się szafir pierścienia. Wezwanie do powrotu. Sowiej Górcie grozi pewnie klęska suszy i pani Jaga sama nie może nic na to zaradzić. Postanowił wyjechać jeszcze dziś. Szybko wrócił do hotelu, zwolnił pokój i zamówioną taksówką pojechał

na lotnisko. Po krótkim czasie siedział już w samolocie lecącym do Warszawy, rozmyślając, jakich sposobów musi użyć, aby klęskę od Sowiej Górki odwrócić.

Zakończenie

Kiedy taksówka przejechała przez wieś, wszyscy odetchnęli z ulgą. Wrócił pan Wiktor, ani chybi pogoda zmienić się musi.

Gospodynie z pośpiechem ściągały ze sznurów suszące się pranie, gospodarze chowali pod dach sprzęt i pomniejsze gospodarskie statki. Wiadomo, deszczu, albo i ulewy jakiej, tylko patrzeć.

Do sołtysa przybiegł zdyszany stary Ignacy.

- Sołtysie - zawołał od progu - pan Wiktor wrócił! Prędko chodźmy, trzeba powiedzieć, co się dzieje!

- Co się dzieje, to już pewnie wie, ale iść trzeba. Poczępali przez wieś, posapując od upału. Po drodze dogonił ich pan Kazimierz.

- Pan Wiktor przyjechał! - wołał już z daleka.

- Wiemy, wiemy. Idziemy właśnie do niego - odparł sołtys, wycierając czapką pot z czoła.

- Idzie pan z nami?

- Idę - powiedział pan Kazimierz, bo, mówiąc szczerze, miał wielką nadzieję na własne oczy zobaczyć pana Wiktora przy czarodziejkiej robocie.

Bez trudu otworzyli furtkę. Pan Wiktor zdjął już zakłęcie z ogrodzenia, więc bez przeszkód stanęli na ganku. Mimo że drzwi stały otworem, z wnętrza domu nie dobiegał żaden dźwięk, widać gospodarz rozglądał się po okolicy, oceniając skutki suszy.

Ujrzeni go w oddali. Szedł miedzą wśród pól, co i raz stawał, schylał się i wysuszoną ziemię do niewielkiego woreczka, który miał z sobą, zgarniał. Czasem zrywał jakieś trawy czy zioła wyschnięte w upale, w dłoniach na proszek rozcierał i również do woreczka wsypywał.

W końcu ruszył w stronę domu przez łąkę koło Moczydła. Stanął i przez chwilę patrzył na wyschnięty staw, kręcąc z niezadowoleniem głową. Przeszedł przez ganek, nie zwracając uwagi na gości. Gdy weszli za nim do pokoju, przyłożył palec do ust, gestem nakazując milczenie. Zdumieni poczuli, że jakaś siła, delikatnie ale stanowczo, popycha ich w stronę stojącej pod ścianą kanapy. Usiedli rzędem oniemiałi i tak sztywni, że nawet głowami poruszyć nie mogli.

Tymczasem pan Wiktor ustawił na środku pokoju drewniany pulpit, a na nim rozłożył duży arkusz białego papieru. Następnie do woreczka z ziemią i ziołami wysypał szczyptę proszku z małej fiołki. Chwilę woreczkiem potrzasał i nagle szybkim ruchem całą zawartość wysypał na papier. Czarny proszek zaczął się mrowić, jak drobne robaczki. Wreszcie znieruchomiał, układając się na białej powierzchni w jakieś znaki czy wzory.

Biała karta upstrzona czarnymi znaczkami przypominała panu Kazimierzowi, który czasem bywał na koncertach, partyturę rozłożoną na dyrygenckim pulpicie.

Pan Wiktor zaczął odczytywać wzory, wodząc palcem wzdłuż linii. Wreszcie skończył i ruch ręką zrobił.

Powiał wiatr, a ciemne chmury powoli zasnuwały niebo. Pociemniało i na ziemię zaczęły padać grube krople deszczu. Czarownik, niezadowolony widać z efektu, ruchem dłoni opadł przerwał. Ostatnie grube krople zadudniły o daszek ganku, układając się w swoistą frazę. Podniósł głowę i chwilę nasłuchiwał. Znów kilka grubych kropel zadudniło o daszek, ale tym razem w nieco innym rytmie.

Teraz lepiej, o wiele lepiej, pomyślał. Rozejrzał się po pokoju, czegoś szukając, a gdy nie znalazł, kilkakrotnie zaklaskał. Na ten dźwięk ze stojaka na parasole wysunęła się cienka pałeczka - różdżka, której czasem do większych magicznych prac używał, i z cichym buczeniem zawisła przed nim w powietrzu.

Z pałeczką pod pachą i pulpitem w obu rękach wyszedł pan Wiktor na ganek. Za nim wyszli i jego goście, których tajemna siła wyprowadziła z pokoju i teraz ponownie posadziła, nadal sztywnych i niemych, na drewnianej ławeczce stojącej na ganku.

Pan Wiktor zastukał pałeczką w pulpit. Zerwał się wiatr i zaczął świstać w gałęziach drzew. Ruchem lewej dłoni poprawił ton i świst wiatru zamienił się w dźwięk fletu. Niebo, aż po horyzont, pokrywały granatowe, brzechate chmury, ciężarne masą niesionej wody.

Czarownik uniósł obie ręce w górę i nastąpiła przejmująca cisza. Gwałtowny ruch pałeczki - zadudniły kotły odległych grzmotów. Powiał wiatr, spadły pierwsze grube krople deszczu, wybijając głośny rytm.

Ruch pałeczki stał się bardziej szybki, wiatr się wzmacniał, a deszcz przeszedł w ulewę. Rykneły trąby bliskich grzmotów i niebo rozdarły zygzaki błyskawic. Wysuszonej ziemi wolno chłonęła wodę, jej nadmiar spływał strumyczkami do stawu. Znów zadudniły kotły grzmotów, hen, daleko, na niemal czarnym widnokręgu.

Pan Wiktor przechylił lewą dłoń, zakrzywiając palce, jakby trzymał w niej szyjkę skrzypiec czy altówki. Ulewa słabła, zamieniając się w gęsty deszcz. W podmuchach wiatru słychać było flet, wiodący cały dęty orkiestrowy drobiazg.

Ziemia syciła się wodą. Liście drzew i krzewów, opłukane z kurzu, odzyskiwały soczystą, letnią zielen. Jeszcze raz zadudniły kotły i zagrzmiały trąby.

Mimo chłodnego powietrza czoło pana Wiktora pokrywały krople potu. Poczul zmęczenie, więc poziomymi ruchami obu rąk zaczął wyciszać szalejące żywioły. Gwałtowny deszcz słabł, ścisł wiatr, a uwolnione od wody chmury odpływały wolno, odsłaniając błękitne niebo. Jeszcze tylko kilka razy, coraz ciszej, zadudniły grzmoty odchodzącej burzy.

Czarownik lewą ręką rozganiał resztki chmur, - aż ukazało się słońce, tak jaskrawe, jakby deszczem wymyte. Na koniec gwałtownym ruchem pałeczki rozpiął na niebie wielobarwną tęczę i obie ręce opuścił.

Stał, patrząc na parującą, wilgotną ziemię i błękitne po horyzont niebo, aż wreszcie zgiął się w ukłonie, dziękując za słyszane tylko przez siebie brawa.

I trwał tak długą chwilę.

Tomasz Jerzy Matczak